



Na ratunek planecie

PIONIERKA



Zamiast posiadać ziemię,
zaczniemy o nią się troszczyć.
Stańmy się strażnikami ziemi,
a nie panującymi nad nią
– przekonuje **MARY REYNOLDS**,
irlandzka projektantka ogrodów,
aktywistka ekologiczna
i autorka książki
„Ogrodowe przebudzenie”.

Kilka lat temu obejrzałam film „Dare to be Wild” („Dzika jak natura”) w reżyserii Vivienne De Courcy. To urocza historia młodej projektantki niezwykłych ogrodów, która wygrała słynny konkurs ogrodniczy Chelsea Flower Show. Wyobrażasz sobie moje zaskoczenie, gdy dowiedziałam się, że będę rozmawiać z kobietą, której życie stało się inspiracją dla tego filmu!

Trudno się ogląda film o sobie, miałam mocno mieszane uczucia, gdy go pierwszy raz zobaczyłam. Dziś myślę, że to jednak bardzo słodka opowieść, no i mogło być gorzej, prawda? Reżyserka mogła ze mnie zrobić na przykład seryjną morderczynię [śmiech]. **Czy ten film w jakikolwiek sposób wpłynął na twoją karierę zawodową?**

Na pewno mi w niej nie przeszkodził. Moje nazwisko stało się bardziej rozpoznawalne, choćby w Ameryce. Dzięki temu moje prace, pomysły, idee, ale i książka „Ogrodowe przebudzenie” odbiły się szerszym echem.

Zawsze chciałaś żyć blisko przyrody? Czy może to była naturalna kolej rzeczy, skoro twoi rodzice byli farmerami?

Od dziecka żyłam blisko natury i tak mi już zostało. Urodziłam się na farmie w południowo-wschodniej Irlandii jako najmłodsza z szóstki rodzeństwa. Rodzice dużo pracowali, więc my, dzieci, właściwie sami się o siebie troszczyliśmy, co oznaczało też, że było dużo swobody i wolności, nikt nas nie pilnował. Z tego czasu zapadł mi w pamięć moment, który dziś mogę śmiało uznać za formujący. Miałam może sześć albo siedem lat, nie więcej, bo pamiętam swoje pulchne nóżki. Pewnego majowego dnia wybrałam się na spacer i po jakimś czasie trafiłam na mały skrawek ziemi otoczony drzewami i krzakami, blisko działki naszych sąsiadów. Dokładnie pamiętam, że przeszłam przez dość szeroką dziurę między krzewami głogu, kolcolistu i ciernistymi jeżynami. Kiedy znalazłam się po drugiej stronie, nagle poczułam za sobą czyjąś obecność. Odwróciłam się i zobaczyłam, że przejście zniknęło. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale wtedy bardzo się przestraszyłam. Biegałam dookoła gęstych zarośli, płacząc, ale nikt mnie nie słyszał. Na szczęście moją uwagę przykuły słońce i motyle, usiadłam więc na środku tego zakątka. Wraca do mnie wspomnienie, że czułam się wtedy otoczona; wydawało mi się, że rośliny na mnie patrzą. Nie mam pojęcia, ile czasu tak siedziałam. W końcu zauważyła mnie córka sąsiadów, zaczęła do mnie coś wołać, a kiedy się ponownie odwróciłam, przejście między krzewami znowu się pojawiło.

Długo nikomu o tym nie mówiłam, aż pewnego dnia zwierzyłam się ojcu. Powiedział, że podobna rzecz w tym samym miejscu przydarzyła się jego dziadkowi. W Irlandii pełno jest ►



*Namawiam do tego, by część ogrodu zostawić po prostu naturze.
Niech na tym skrawku dzieje się, co chce.*

takich miejsc, nazywamy je „zakątkami wrózek” – trudno do nich dotrzeć i jeszcze trudniej z nich się wydostać. Wiele lat potem, kiedy pisałam moją książkę...

Tę o ogrodach?

Najpierw wpadłam na pomysł, że napiszę książkę o tym, jak naprawdę wyglądała historia z Chelsea Flower Show. Ponieważ jednak pisanie o sobie szybko mnie znudziło, postanowiłam przybliżyć czytelnikowi, na czym polega praca projektantki ogrodów. I wtedy właśnie wróciło do mnie wspomnienie tamtego dnia. To było jak olśnienie – zdałam sobie sprawę, że właśnie wypisałam się ze swojego zawodu.

Jak to?

Chociaż w swoich projektach zawsze brałam pod uwagę takie rzeczy, jak ukształtowanie terenu czy naturalne prawa przyrody, to po jakimś czasie moje ogrody zaczynały się rozrastać i zmieniać, niezgodnie z tym, co im przeznaczyłam. Po prostu robiły, co chciały. Zorientowałam się, że moja praca zaczyna polegać na niewolniczym trzymaniu się jakiejś wizji i dopasowywaniu, przycinaniu do niej roślinności, zamiast na dostosowywaniu się do potrzeb i charakterystyki krajobrazu. W dodatku ta historia z dzieciństwa przypomniała mi, że przecież doświadczyłam na własnej skórze obecności roślin, ich osobowości. W tamtym zakątku miałam wrażenie, że na mnie patrzyły, jakby dopominając się o uwagę. Pomyślałam, że to wszystko nie tak, że nie powinniśmy naginać przyrody do naszej wizji piękna i do naszych potrzeb. Zaczęłam postrzegać ziemię jak wielkie bijące serce. Kiedy patrzymy na nią w kategoriach posiadania, a nie opieki, to serce pęka na małe kawałki. I tylko od nas zależy, czy uda nam się je uleczyć, skleić ponownie w jeden kawałek. Wierzę, że gdy spojrzymy na ten płachetek ziemi, który użytkujemy, jak na część naszej rodziny, to pocujemy, że i my się stajemy członkami jej rodziny. Rośliny to część naszej ziemskiej rodziny, są tak samo żywe jak my. Po prostu zrozumiałam, że jesteśmy z ziemią całością.

I że nie możesz już wykonywać swojego zawodu.

Mieszkałam wtedy w zachodniej części Irlandii, na swoistym odludziu, ale byłam też samodzielną mamą dwójki dzieci i nie

miałam pomysłu, z czego będę się utrzymywała, jeśli nie chcę dalej projektować ogrodów. Ale ponieważ jestem dość uparta, więc kiedy uświadomiłam sobie, że muszę przestać robić to, co robię – przestałam od razu. Na szczęście akurat wtedy pewna stacja telewizyjna zaprosiła mnie do współtworzenia programu, co pozwoliło przetrwać nam pierwsze miesiące bez stałej pracy. A kiedy dzieci zasypiały, ja siadałam nad książką, którą trzymasz teraz w ręku, i cały czas myślałam nad koncepcją opieki, którą musimy otoczyć ziemię. Bo w naszym podejściu do niej naprawdę wiele musi się zmienić.

Co na przykład?

Wydaje nam się, że dobrze robimy, lecząc choroby roślin chemią i pestycydami. W ogrodnictwie używa się dużo więcej chemii niż w rolnictwie, ale nikt o tym nie mówi. Trzeba od tego odejść i poszukać innych rozwiązań. Ale przede wszystkim słuchać ziemi i obserwować, jak sama radzi sobie z problemami.

W Polsce rośnie grupa osób, które wybrały model uprawy i jednoczesnej regeneracji ziemi, określanej terminem permakultury. Wymaga to zmiany myślenia, a nie każdy jest na to gotów. Jak ty przekonujesz ludzi do swojej idei?

Często porównuję ziemię do kobiety. Przecież ziemia to wcielenie kobiecości, a my, kobiety – tak samo jak ziemia – jesteśmy zmęczone byciem dostrzeganymi tylko ze względu na naszą produktywność czy urodę. Tak samo ziemia jest zmęczona traktowaniem jej przedmiotowo i przemocowo, nadużywaniem i maltretowaniem. Jeśli nie skończymy z nadużywaniem zasobów ziemi, to wkrótce nie będziemy mieć domu. Sytuacja jest naprawdę poważna – mamy dziesięć lat na realną zmianę sytuacji. Jednak wiele osób nadal tego nie dostrzega i nie rozumie. Dlatego zamiast przekonywać, wolę dawać przykład. Może gdy ktoś zobaczy, co się dzieje na moim skrawku ziemi, spróbuje tego samego na swojej.

Inspirujesz nie tylko swoimi działaniami. Założyłaś też fundację We Are The Ark (Jesteśmy Arką).

Nie możemy czekać, aż nasze rządy czy politycy zaczną wprowadzać korzystne dla Ziemi i klimatu zmiany. Każda zmiana zaczyna się oddolnie i potem dopiero rozszerza na cały świat.

Dlatego założyłam fundację, a raczej zapoczątkowałam ruch społeczny. Nazwa wzięła się stąd, że pewnego dnia siedziałam przy oknie i patrzyłam na swój ogródek, gdy nagle pod moim oknem przebiegł lis, a zaraz za nim dwa zające. Wyglądało to tak, jakby zające goniły lisa. Chwilę potem w tym samym kierunku potupała rodzina jeży. Pomyślałam, że przed czymś uciekają. I rzeczywiście, gdy wyszłam na dwór, zobaczyłam, że na sąsiedniej działce koparka czyści cały teren ze starych krzewów, krzaków i roślin, które przez wiele lat były domem dla okolicznych zwierząt. I te zwierzęta rozbiegły się, szukając schronienia, swojej arki Noego. Za tym poszła myśl o bardziej radykalnym działaniu niż tylko pisanie książki.

Co robisz w ramach fundacji?

Moja propozycja jest skierowana przede wszystkim do tych, którzy mają ziemię. Zachęcam ich do tego, by połowę tej ziemi oddali naturze, czyli żeby po prostu nic na niej nie robili, nie siali, nie uprawiali – nie sadzili kwiatów, nie kosili trawy, po prostu by zostawili ją samej sobie. I by postawili w tym miejscu tabliczkę o treści: „To jest arka”. Czyli część działki oddajemy naturze, a na drugiej sadzimy warzywa i owoce w sposób organiczny, bez chemii i sztucznych nawozów.

A co może zrobić osoba, która mieszka w mieście i nie ma nawet ogródka działkowego? Wspierać lokalnych producentów, zwłaszcza tych, którzy uprawiają warzywa i owoce w sposób regeneratywny dla ziemi. Dobre praktyki można wspierać na wiele sposobów. Najważniejsze to odciąć się od przemysłowego systemu uprawy roślin i hodowli mięsa, który zatruwa glebę, wody gruntowe i zezwala na takie anomalie jak przewożenie jedzenia z jednego końca świata na drugi tylko po to, byśmy mieli przez cały rok dostęp do egzotycznych warzyw i owoców. Przez właśnie takie działania niszczymy miejsce, które jest naszym domem.

Doceniłiśmy to podczas pandemii. Sama obserwowałam, jak ludzie uciekali masowo na wieś, do parków i lasów.

Ale nawet nasz przydomowy ogródek może nam dać wytchnienie. Rozwiązanie, jakie proponuję, to stworzenie leśnego ogrodu. To bardzo prosta koncepcja, pozwala na swobodne działanie natury i na uprawę, w dodatku sprawdzi się nawet na małym obszarze.

Opowiedz coś więcej.

W skrócie polega to na tym, że na własnej działce tworzysz wielonarstwowy ekosystem, który jednocześnie regeneruje ziemię i użyźnia ją, a tobie pozwala uprawiać warzywa i owoce. Wykorzystujesz przy tym naturalne nasłonecznienie oraz samowysiewające się tak, by stworzyć zróżnicowany zespół roślinny. Wiele rzeczy trzeba wziąć pod uwagę podczas projektowania takiego ogrodu, czyli co gdzie sadzimy, jakie rośliny ze sobą łączymy. Szybko zorientujemy się jednak, że im mniej naszej ingerencji, tym lepiej dla roślin. Powstała na ten temat naprawdę bogata literatura, bo leśne ogrody nie są żadną nowością, ta idea

jest żywa od wieków. Wiele wskazówek można znaleźć także w moim „Ogrodowym przebudzeniu”. I oczywiście namawiam, by część takiego ogrodu zostawić po prostu naturze. Niech na tym skrawku dzieje się, co chce. Zobaczycie, że bardzo szybko pojawią się tam zwierzęta, owady czy naturalne drapieżniki, które często uwalniają nas od szkodników niszczących nasze uprawy. W ten sposób powstanie równowaga.

Sporo nauki przy takim leśnym ogrodzie.

Tak, na początku to się może wydać trudne, zwłaszcza jeśli na co dzień twój kontakt z przyrodą ogranicza się do zasadzenia kwiatków w doniczce na parapecie. Ale jeśli damy sobie czas, nauczymy się obserwować procesy, jakie zachodzą w glebie – zrozumimy, że trzeba po prostu podążać za przyrodą. Odżywiona ziemia znacznie odwdzięczać się nam warzywami i owocami pełnymi witamin. A bardzo tego potrzebujemy. Nasze jedzenie jest tak mało odżywcze! Zwróć uwagę, że najbardziej niedożywione są osoby otyłe, bo jedzenie ich nie odżywia, tylko truje. Nasza ziemia choruje, a my razem z nią. **Mówiłaś, że mamy jeszcze dziesięć lat na zmianę, ale tak naprawdę już żyjemy z konsekwencjami niszczących działań człowieka. Jak przekonać tych nieprzekonanych?**

Kiedy opowiadasz ludziom o zmianach klimatu, nie zawsze rozumieją, o co ci chodzi, ale kiedy mówisz o coraz mniejszej bioróżnorodności, zaczyna to do nich powoli docierać. Przypominają sobie, że gdy dekady temu jechali autem, to przednia szyba szybko pokrywała się owadami, a dziś się to już nie dzieje. Albo zauważają, że jest o wiele mniej ptaków – to naprawdę robi wrażenie. I to właśnie może zmienić ich podejście do tematu. Większość ludzi nie widzi związku między kryzysem klimatycznym a pogorszeniem jakości ich życia, są odcięci od ziemi, nie widzą procesów, jakie w niej zachodzą. Żyjemy naprawdę w trudnych czasach, często budzę się w nocy i martwię się o przyszłość.

I co ci wtedy pomaga?

Staram się myśleć pozytywnie, smutek przecież nie pomoże mi w działaniu. A to działanie mi pomaga, namawianie ludzi, by odchodzili od systemu i zmieniali swoje życie. I by nie uciekali, nie zapadali się w sobie. Potrzebujemy wrażliwych wojowników, strażników natury. To do was mówię: walczycie, zajmijcie się ziemią, jej odradzaniem się. Uczcie się od ludzi, którzy znają się na glebie, na uprawie organicznej, na odradzaniu ziemi, to nasza jedyna nadzieja na zmianę bez przemocy. Nie mamy wyboru, jesteśmy pionierami, musimy dać sobie radę. ●



MARY REYNOLDS

jest jedną z dziesięciorga najbardziej znanych projektantów krajobrazu na świecie. W 2002 roku wygrała Chelsea Flower Show projektem „Tearmann sí, a Celtic Sanctuary”, będącym hołdem dla irlandzkiej natury i tradycji. Jej książka „Ogrodowe przebudzenie” ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego.